

## Żywot Józefa Łobodowskiego (4)

„OPUSZCZAM LUDZI, KTÓRZY ZDEGENEROWALI SOCJALIZM”

Łobodowski wrócił do cywila i do przerwanej pracy poetyckiej, dziennikarskiej i redaktorskiej. Natychmiast zaczął zbierać materiał [...] dał tytuł „Dźwigary”. Pierwszy numer ukazał się w listopadzie 1934 roku. Podpisany został przez Kazimierza Wójcika. Łobodowski z zawieszonymi wyrokami, nie mógł już ryzykować. Nikt nie miał jednak wątpliwości, kto jest twórcą i redaktorem pisma tym bardziej, że redakcja w artykule „Pro domo sua” informowała czytelników, iż antenatem „Dźwigarów” jest miesięcznik „Barykady”, który „Zmarł śmiercią gwałtowną, mając dębową trumnę pozwem zatrzaśniętą. Zostało po nim kilka weksli i ożywione stosunki z urzędem śledczym i prokuratorem.”

Artykuł kończył się informacją: „To, że pismo wychodzi w Lublinie, jest najzupełniejszym przypadkiem. «Dźwigary» nie mają żadnych ambicji regionalnych”.

W założeniu miało to być pismo ogólnopolskie. Pierwszy numer można uznać za próbę nawiązania bliższych kontaktów lubelskich poetów z wileńskimi „żagarystami”. Znalazły się w nich bowiem, obok utworów Czechowicza i Łobodowskiego, wiersze Zagórskiego, Miłosza i Putramenta. Poza tym numer przynosił sporo przekładów i materiałów dotyczących literatury i przemian społecznych, dokonujących się w Związku Radzieckim. Publicystykę numeru, jak dawniej, niemal w całości wypełnił Łobodowski, występując pod nowymi i starymi pseudonimami: nie przywołał jedynie poszukiwanego listem gończym Mariana Ślizgi.

Ton publicystycznych wypowiedzi był już bardziej zrównoważony i miarkowany. Jedynie Nowaczyńskiego nazwano „Jadowitą purchawką polskiej literatury”. W sumie, numer był nie tylko obszerny (liczył 84 strony), ale i interesujący. Łobodowski potrafił skupić dobre pióra.

Gdyby udało mu się utrzymać pismo na zaproponowanym poziomie „Dźwigary” mogłyby się stać ważnym czynnikiem, kształtującym życie literackie kraju. Jednak bez wsparcia finansowego nie można było myśleć o dłuższym żywocie miesięcznika. I wydaje się, że takiego wsparcia zabrakło, a Łobodowski nie mógł liczyć ani na własne dochody, ani na pomoc biednej rodziny. Wydał jeszcze jeden numer „Dźwigarów”: za grudzień 1934 i styczeń 1935 roku. Numer nie uległ konfiskacie, ale i tak pismo umarło śmiercią naturalną.

W ślad za Czechowiczem i Arnsztajnową, Łobodowski kierował się ku Warszawie, z myślą o nawiązaniu kontaktów ze stołecznym środowiskiem literackim. „Gdy przyjechałem do stolicy w roku 1934, po

wyrzuceniu mnie z wojska na pięcioletni okres (tyle opiewały zawieszenia wyroków i innych spraw sądowych), zbliżyłem się do Tuwima, poznałem Grydzewskiego

i Wierzyńskiego, Iłakowiczównę, Słonimskiego, następnie poetów Kwadrygi, Sabyłę, Dobrowolskiego, Flukowskiego, łodzian: Piechala, Timofiejewa. Z prozaików: Goetla, Nałkowską, Szelburg-Zarembinę, Uniłowskiego, Andrzejewskiego. Znacznie później przyszła kolej na wileńskich zagarytów: Zagórskiego, Miłosza, Putramenta („Kontakt”, październik 1987. s. 59).

Przyjeżdżając do Warszawy zatrzymywał się w tzw. „wspólnym pokoju” przy ul. Dobrej 9, w którym koczowali: Bronisław Ludwik Michalski, Henryk Domiński, Stanisław Piętak i Waclaw Mrozowski. Mrozowski tak go zapamiętał: „Barczysty, na krótkich nogach, trochę krzywych, te same niesamowite oczy głęboko osadzone. Szeroka, płaska twarz i cmentarzysko zębów w otworze gębowym. [...] Łoboda od rana do wieczora był poza [...] wtedy często następowały spięcia między nim a Michalskim. Józef był awanturnikiem. Najwięcej szumu robił zawsze Łobodowski i na to nie było rady. Na szczęście więcej przesiadywał w Lublinie niż u nas”. (Waclaw Mrozowski, „Cyganeria”, ss. 83, 93 i 134).

W Lublinie oczekiwała jego wataha, do której m.in. należeli: Władysław Podstawka, Kazimierz Wójcik, Jan Samuel Miklaszewski, Jerzy Szczepkowski i przybywający z Warszawy, Michalski z Domińskim.

„Głównym motorem ożywiającym i zasilającym w energię całą watahę był jej ataman. Niski, krępy, silnie zbudowany, o profilu boksera, choć trochę asymetryczny, łączył w sobie cechy intelektualisty z temperamentem chuligana. Tkwiło w nim jakby dwóch ludzi – poetę podjudzał awanturnik. Zainteresowania jego były równie silne w sprawach artystycznych, jak też społecznych, politycznych i sportowych. Rzutki, energiczny, zdolny do pracy i dużych wysiłków, dysponował naprawdę kozackim zdrowiem i wytrzymałością. Po nocy przehulanej w knajpie potrafił, zamiast położyć się spać, pójść pieszo do miasteczka oddalonego o jakieś 40 kilometrów, w odwiedziny do osoby zaprzyjaźnionej, aby tam znów przehulać noc. Po krótkim odpoczynku, odbywał rejs powrotny i znów lądował w knajpie. A jednocześnie pisał wiersze, organizował imprezy, zajmował się publicystyką i wydawaniem różnych periodyków. [...]

Działalności wydawniczo-literackiej i polityczno-społecznej towarzyszyły pijackie wysoki. Gdy atamanowi znudziła się melina u ojca Grudnia i gdy miał przyływ gotówki, wówczas prowadził swoją wierną drużynę do lepszego lokalu, np. «Europy». Po pewnej ilości alkoholu, wpadał w wojowniczy nastrój i wyładowywał swój temperament, wywołując bójki i awantury. [...] Trzeba przyznać, że te awantury wyczyniał ataman jednoosobowo, a wataha zachowywała się raczej biernie. Wkrótce Łoboda stał się postrachem knajp lubelskich, tak że lepsze lokale mobilizowały na wszelki wypadek, silnych wykidajłów, którzy przy pierwszych próbach ataków wyrzucali za drzwi awanturników.

Drugim trickiem knajpianym atamana było zapraszanie frajerów na kolację, a potem w dogodnym momencie ulatnianie się i pozostawianie naiwnych jako zastaw za nie zapłacony rachunek”. (Waclaw Gralewski: „Ogniste koła”, ss. 175, 180).

Nie wiadomo ile w tych barwnych opisach jest prawdy i co, było powodem, szukającej ujścia

w wywoływanych awanturach, agresji. Może przeżywany wówczas przez poetę, głęboki kryzys ideowy i polityczny oraz zachwianie wiary w wyznawane ideały. Po latach Łobodowski uprościł proces gwałtownych przemian psychicznych, opowiadając, iż „w 1935 roku dojrzała decyzja, żeby pojechać nielegalnie do Związku Sowieckiego i przekonać się, jak ta rzeczywistość tam naprawdę wygląda. Oczywiście wróciłem całkowicie wyleczony”. („Poezja” 1988, nr 6, s. 21).

Wiele wskazuje na to, że poeta po latach, może dla ubarwienia życiorysu, przeniósł do własnej biografii ten fikcyjny epizod ze swojej powieści „Rzeka graniczna”. Obecnie nie jest to już tak bardzo istotne, czy osobiście sprawdzał realia, czy tylko śledził coraz bardziej niepokojące wieści napływające z kraju, który brał za wzór przebudowy społecznej i politycznej własnej ojczyzny. W każdym razie tym czasie zaczął tracić wiarę w prawdziwość wyznawanych i propagowanych z taki żarliwością haseł. Buńczuczną pewność siebie zastąpił niepokój i pesymizm. Kontakty z Czechowiczem i grupą wileńskich żagarystów odkrywały katastroficzną wizję świata. Wyrazem nowej postawy stał się wydany w 1935 roku tom wierszy „Rozmowa z ojczyzną”.

Recenzujący ten tom Stefan Napierski w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym (z 15 XI 1935 r.) zarzucił Łobodowskiemu anarchizm i neurastenię. W odpowiedzi poeta ogłosił w „Wiadomościach Literackich” (nr 43 z 1935 r.) artykuł „Smutne porachunki”. Pisał: „Nie widzę nigdzie sztandaru, pod którym można by złożyć głowę, nie słyszę słów komendy. Słyszę wrzask targowiska, gdzie kupa spryciarzy licytuje się w miłości do proletariatu. Nie ma w Polsce szeregu, do którego mógłbym doszłusować. [...] Kiedy wydawałem książki i pisma «o treści wywrotowej», poszła po Lublinie plotka, że a pieniądze Kompartii «zatrąwam ducha narodu». Dziś, gdy ujrano moje nazwisko na szpaltach zasobnych w gotówkę czasopism, znów wszystkie gamratki jazgoczą, że się dał przekupić i dlatego zatrąbiłem na odwrót. Te same grzebieluchy, które parę lat temu kwiczały z uciechy, widząc moje połatane portki, teraz martwią się po nocach «skądże to Łobodowski ma forszę?» Nie wiedzą, że wtedy, gdy mnie ścigano, śledzono i osaczano, gdy byle pętał pluć mi pod nogi, gdy srogą zimą marzłem w letnim palcie, gdy w więzieniu wojskowym pisałem wiersze na ścianie – byłem szczęśliwszy niż dziś. [...] Uragają mi z chwilą, gdy przyszła stosunkowa pomyślność zewnętrzna. Cóż z tego, gdy zabrakło pomyślności ideologicznej. [...] Iść z nimi — to znaczy co dzień zadawać gwałt sumieniu. Zakrywać oczy na wszystko, czego się widzieć nie poleca. Poddać się terrorowi moralnemu. Wstrzymać się z wygłaszaniem własnego zdania, póki nie przyjdzie urzędnik i nie uzgodni poglądów i myśli bez imiennego nakazu. Żyć w strasliwym przeświadczeniu, że wszelka krytyka, wszelka próba opozycji ideowej będzie potraktowana jako zamaskowana kontrrewolucja... Mam dość tej zabawy. Spójrz na wczorajszych żołnierzy wolności, dzisiejszych niewolników frazesu. Ich głowy zaczynają dojrzewać do gilotyny”.

Dalej bronił się w następujący sposób przed oskarżeniami o zdradę:

„Nie jest zdradą ani dezercją — pisał — zrzucanie munduru, w którym duszno. Nie „jest zdradą wypowiedzenie posłuszeństwa uzurpatorom idei. Nie zdradzam haseł wolności. Opuszczam ludzi, którzy zdegenerowali socjalizm. [...] Uważam, że rewolucja — to przede wszystkim przywrócenie godności każdej

jednostce. A nie sądzę, aby godność ludzka święciła triumfy tam, gdzie tylu najwartościowszych musiało jej szukać w samobójstwie”.

Była to aluzja do samobójstw rosyjskich poetów: Błoka, Jesienina i Majakowskiego. Swoim zaś dawnym towarzyszom zarzucał brak zdolności do krytycznej oceny wydarzeń: „[...] nie wykazać się entuzjazmem dla masakry po śmierci Kirowa, słowem kierować się w ocenie zjawisk sumieniem, a nie partyjnym nakazem — to w języku oficjalnym nazywa się kontrrewolucją. [...] Dla mnie kontrrewolucjonistami są właśnie tępi marksiści i to wszystko, co dzisiaj nosi stempel oficjalnej rewolucji”.

Po tym wystąpieniu w prasie krajowej zawrzało. Najgwałtowniej i najostrzej ocenili tę ewolucję dawni towarzysze Łobodowskiego. Pierwsza zabrała głos Wanda Wasilewska w artykule „Ewolucja ideowa” („Robotnik” 1935, nr 333) Pisała „Nie zabieram w tej sprawie głosu jako literatka, jako człowiek przynależny do tego czy innego obozu — tylko po prostu jako ktoś, kto przeczytał tę «ewolucję ideową» i poczuł głębokie obrzydzenie [...] Występuje on tu jako typowy przykład «poety», «literata», który wyczuwając instynktownie, skąd wiatr wieje, burzy się i fermentuje, głosi swą przynależność do obozu rewolucyjnego, by w końcu trafić tam gdzie przynależał w swej istocie od początku — do obozu reakcji do zacisznej, spokojnej zatoczki. Opowiadki o rozpaczach i żalu z powodu utraty «dziecinnej wiary» możemy zostawić na boku — pieniądze i powodzenie łatwo obetrą te łzy [...] Pan Łobodowski pluje na swoją przeszłość — to mu wolno — widocznie sam ocenił, że więcej nie była warta”.

Wtórował Wasilewskiej w 5 numerze „Lewara” Czesław Lang pisząc: „Łobodowski poeta przywdział mundur marksisty i dialektyka, aby tym łatwiej ostrzeliwać marksizm, z pozycji IDEALIZMU.”

Wśród kręgów bardziej umiarkowanych decyzja Łobodowskiego została przyjęta z większym zrozumieniem. Karol Irzykowski w artykule „Co to jest zdrada” („Pion” nr 3, 1936) rozpatrywał moralne aspekty decyzji poety, stwierdzając, iż na korzyść Łobodowskiego powiedzieć można to, że całą tę sprawę swoją przeżył bardzo silnie”. Zaś Andrzej Kruczkowski, włączając się do dyskusji artykułem „Casus Łobodowski” („Wiadomości Literackie” 1935, nr 45), napisał: „Być młodym i nie być komunistą, lub nie komunizować, to — w Polsce — o mało że nie heroizm najczystszej wody”. Kończy zaś artykuł stwierdzeniem: „Trzeba jednak powiedzieć, że to, co zrobił Łobodowski, jest krokiem naprawdę heroicznym”.

Kazimierz Wyka recenzując tom „Rozmowa z ojczyzną” pod znamienym tytułem „Cierpkie pieniactwo poety” („Tygodnik Ilustrowany” 1936, nr 50) oświadczył: „...twórczość Łobodowskiego stanowi dumny dowód niezależności poezji. Świadczy, że prawem poety jest prawo ostrzegania i buntu, w którym mieści się więcej wartości, niż w zgubnym śpiewie z barykadową grupą. Świadczy, że w młodym pokoleniu żywym jest ku ciemnej przyszłości skierowane, losem człowieka wytyczone «cierpkie pieniactwo poety»

Łobodowski odpowiedział Wasilewskiej w artykule „Adwersarce [Adwokatka] heroizmu” („Wiadomości Literackie” 1935 nr 48). Warto przytoczyć tu chociażby jedno zdanie: „Przeraziły mnie dopiero egzekucje po śmierci Kirowa i terror na Ukrainie, przeraziły mnie obelgi rzucane na socjaldemokrację austriacką w parę dni po zgonie Münichreitera i Wallischa”.

Głosów polemicznych i dyskusyjnych było znacznie więcej, ale cytowane tu wypowiedzi chyba najlepiej ilustrują nie tylko sprawę Łobodowskiego, ale problematykę nurtującą ówczesne młode pokolenie literatów.

Wydaje się, że i dziś, kiedy w publicystyce rozważa się różne aspekty epoki stalinizmu z lat trzydziestych, „casus Łobodowskiego”, jako polskie echo tamtych czasów, też godny jest głębszej refleksji.